

TUROSZÓW niedaleko POZNANIA

Sekretarka załatwia właśnie pilną rozmowę w międzymiastowej:

— Halo, tu Przedsiębiorstwo Budownictwa Ładowego i Wodno-Inżynierskiego w Poznaniu. Zamawiam Turoszów, tak, na Dolnym Śląsku...

Zanim uzyska się połączenie — jest czas na rozmowę. Dyrektor Edward Pindur wyjaśnia:

W turoszowskim kombinacie, zajmujemy się zaopatrzeniem w wodę urządzeń elektrowni. Nie tylko zresztą tam wykonujemy tego typu zadania. Nasze przedsiębiorstwo specjalizuje się bowiem w budowie zapór i zbiorników retencyjnych oraz systemów zaopatrzenia w wodę wielkich budowli przemysłowych w całej zachodniej części kraju. Od Szczecińskiego po Opolskie, od Konina po Dolny Śląsk...

— Właśnie my — ciągnie dyrektor — budowaliśmy dla Turoszowa zapórę i zbiornik w Witce. Witka jest niewielkim dopływem Nysy Łużyckiej, ale wody Nysy są już mocno wyeksploatowane przez przemysł i Witce przypadła zaszczyt zaopatrywania kombinatu. Obecnie przystąpiliśmy do spiętrzania wody w zbiorniku, który pomieści ładnie kilka milionów metrów sześciennych.

Nasze zadania obejmowały ponadto budowę rurociągu ze zbiornika do elektrowni i wykonanie, w jej obrębie kanałów chłodzących. W latach 1960 i 61 Turoszów był jedną z naszych najważniejszych inwestycji — wartości ponad 120-tu milionów złotych. Można z satysfakcją powiedzieć, że nasza praca została wykonana na czas, nie przysporzyła żadnych kłopotów budowniczym kombinatu, ani opóźnień „Akcji 400”. Mówiąc zresztą nawiasem, dla nas była to od razu „akcja 1400”, ponieważ zbudowany przez nas system zaopatrzenia w wodę służyć będzie siedmiu turbozespolom. Już niedługo, we wrześniu lub październiku, poznańscy fachowcy zakończą tam swoje prace i zakończy się nasz udział w tej wielkiej i pięknej budowie.

Dzwoni telefon. Zgłasza się inżynier z dalekiej budowy. Rozpoczyna się fachowa rozmowa o postępie prac nad rzeczką, tuż przy czesłowskiej granicy. A niemal w tym samym czasie, w innym punkcie Poznania, w budynku przy ulicy Kochanowskiego 7, grupa młodych urzędników wypytuje kolegę, który przyszedł na krótko załatwić coś w Przedsiębiorstwie:

— No i co u was nowego w tym Turoszowie? Pogodę na pewno macie lepszą... Przecież to zawsze kawał drogi na południe...

Rozmowa schodzi wkrótce do omawiania spraw bliskich, znajomych; a nawet wkracza w sferę uczuć. A więc stąd niedaleko do Turoszowa...

Na sporej mapie w gabinecie dyrektora technicznego poznańskiego „Mostostalu” — inżyniera Dyonizego Kosińskiego, kombinat zaznaczony jest szpilką z żółtym lebkim. Szpilka jak szpilka — ma zwykłe wymiary, ale w rzeczywistości oznacza miejsce montażu 20 tysięcy ton stalowych konstrukcji. Miejsce kilku-letniej, intensywnej pracy poznańskich inżynierów, techników, majstrów i robotników, ich trudny nie-raz wyścig z czasem. Terminy były jednak dotrzymywane; zarówno w budowie paru mostów nad skomplikowanym systemem taśmociągów ko-palnianych, jak i w budowie konstrukcji głównego budynku elektrowni.

— Sześć bloków tego budynku — wylicza inż. Kosiński — oddaliśmy już do użytku. Ostatni, przeznaczony

na pomieszczenie siódmego turbozespolu, robić będziemy w przyszłym roku, a w roku 64-tym zakończymy prace i poznańska ekipa „Mostostalu” przeniesie się na którąś z następnych budowli przemysłowych kraju. To zwykły los naszych załóg, choć myślę, że nasi ludzie zostawiają jednak w Turoszowie sporo serca.

„Mostostal” to już znana i szanowana marka. Z tą nazwą przeciętnemu mieszkańcowi Poznania trudno chyba skojarzyć skromny barak przy ulicy Kochanowskiego. A jednak mieści się tam przedsiębiorstwo, którego produkcja zajmuje (wartościowo) drugie miejsce po „Cegielskim”. Oczywiście, ta produkcja wygląda inaczej niż w normalnej fabryce, realizowana jest w siedmiu województwach, w dziesiątkach miejscowości, do których dotarły poważniejsze inwestycje 5-latk. Materiały zużyte na budowach Turoszowa, Konina, Adamowa i Płocka. Znajdziecie ją czasem na polach, przy montażu rurociągu naftowego, albo w konstrukcjach wielkich dźwigów w Stoczni Gdyniejskiej.

Z Poznania do Turoszowa dotrzeć można rozmaicie. Szosami Ziemi Lubuskiej i Dolnego Śląska, przez region „wielkiej miedzi”, do gwarnej Zgorzelca, a stamtąd nowo zbudowaną i zatłoczoną ciężarówkami asfaltówką — prosto na południe, wzdłuż Nysy. Można jechać po-ciągami przez Wrocław, a nawet tranzytowym autobusem turoszowskich budowniczych, ze Świeradowa przez malownicze góry i miasteczka Czechosłowacji.

Ale do najważniejszych spraw Turoszowa dotrzeć można również liniami międzyfabrycznych powiązań. I wówczas okazuje się, że ten Turoszów, to wcale nie tak daleko, że miejscowość jest dobrze w Poznaniu znana. Nasi znajomi z PBLiWi i z „Mostostalu”, czują się tam jak u siebie w domu. Poznańskie Przedsiębiorstwo Robót Inżynierskich budowało tam system kanalizacyjny na terenie elektrowni

Dokończenie na str. 2

Ludwik Gomolec

WIELKI SABOTAŻ

Do szczególnie mało znanych kart historii Wielkopolski należy działalność dywersyjna i partyzancka podczas okupacji hitlerowskiej. Powstało nawet mniemanie, że warunki wprowadzone przez okupanta (terror, polityka eksterminacji biologicznej) prawie uniemożliwiły jakiegokolwiek próby rozwoju ruchu oporu. Z pewnością ryzyko podejmowania wszelkich akcji przeciwko okupantowi było ogromne, ale mimo to Wielkopolanie rozwijali szeroko taką działalność dywersyjną, która nie narażała ludności polskiej na niepotrzebne straty. Organizatorem walki z faszystowskim okupantem były tutaj komórki Polskiej Partii Robotniczej, Polskiej Partii Socjalistycznej, liczne podziemne organizacje, także wojskowe. Zgodna ich współpraca — jak pisze autor poniższej publikacji — była charakterystyczną cechą polskiego ruchu oporu na terenie tzw. Kraju Warty (Wielkopolska i część województwa łódzkiego).

W dużych zakładach zbrojeniowych, fabrykach czy w warsztatach kolejowych członkowie polskich organizacji konspiracyjnych prowadzili na wielką skalę sabotaż. Na przykład w DWM¹⁾ grupa tajnej PPR stale unieruchamiała nowe nowoczesne obrabiarki sprężone specjalnie z Czech z zakładów „Skoda” do produkcji broni. Aby nie wzbudzić podejrzeń, powodowano zwarcia w cewkach silników tych najnowocześniejszych wtedy obrabiarek.

W czasie zakładania głównego kabla do transformatora w zakładach HCP członkowie tajnych organizacji, m. in. także PPR, uszkodzili go kilofami w kilku miejscach. Przy większym obciążeniu następowało zwar-

Mieszkańcy Niemieckiej Republiki Demokratycznej mają wiele możliwości uzyskania rzetelnej wiedzy o Polsce, nie ruszając się nawet z własnego kraju. Sam tylko Ośrodek Kultury Polskiej w Berlinie organizuje kilka razy w tygodniu imprezy, które zapoznają niemieckich uczestników z problemami wschodniego sąsiada. Wyświetlane są w Ośrodku cieszące się dużym powodzeniem filmy polskie, od czasu do czasu odbywa się tu występ polskich artystów, czynne są różne wystawy.

Około 70 różnych imprez miesięcznie obsługuje Ośrodek na pozostałym terenie NRD, docierając nie tylko do większych miast. Dysponuje on wieloma wydawnictwami polskimi w języku niemieckim, a dla osób znających język polski stoi otworem czytelnia, rozporządzająca ponad 100 tytułami czasopism wychodzących w Polsce.

Ale, jak wiadomo, żadna informacja — wysłuchana czy przeczytana — nie jest w stanie zastąpić własnych obserwacji. W rozmowach z tymi mieszkańcami NRD, którzy choć przez kilka dni przebywali w naszym kraju, wyczuwa się całkiem inny ton niż w rozmowach z ludźmi, którzy posiadają nawet sporą wiedzę o Polsce, ale nie popartą naoczną obserwacją. Słusznie mówią wydawane przez Niemieckie Biuro Podróży prospekty z trasami wycieczek do Polski, że właśnie turystyka przyczynia się do ściślejszego nawiązania stosunków z naszym krajem.

Wyjazdy turystyczne za granicę odgrywają coraz większą rolę w planach urlopowych mieszkańców NRD. W tym roku — jak się tu przewiduje — wyjazdy te wzrosną o 50 proc. w stosunku do roku ubiegłego. Dużą rolę w tym ruchu turystycznym odgrywają podróże do Polski. Ich formy są najróżniejsze, bo np. poszczególne związki zawodowe, młodzieżowe czy sportowe zawierają często własne umowy z analogicznymi organizacjami polskimi o wymianie turystycznej. W tych wypadkach trudno też mówić o stałych trasach. Ale interesowałem się, jakie wyjazdy organizuje do Polski Niemieckie Biuro Podróży w Berlinie. Miałem możliwość przekonać się, że zakres tych wyjazdów, dostępnych dla każdego mieszkańca NRD, jest dość szeroki. Program przewiduje — przeważnie kilku-nastodniowe — wyprawy zarówno nad jeziora, jak i nad morze czy wreszcie w góry. Pobyt w miejscowościach nadmorskich czy też w Karkonoszach lub Tatrach połączony jest ze zwiedzaniem większych miast i stolicy. I tak na przykład



Poznań
8. VII. 1962
Nr 39 Rok II

POGLĄDY
POLEMIKI
POSTULATY

TYGODNIA

DODATEK GROSU WIELKOPOLSKIEGO

siedmiodniowy pobyt w Augustowie, czy też 14-dniowy w Rucianach, związany jest ze zwiedzaniem Warszawy. Turyści z NRD przebywający przez 2 tygodnie nad polskim morzem — w pensjonacie lub domkach campingowych pod Sopotem — zwiedzą oczywiście Gdańsk i Gdynię, a pobyt w Łebie połączony jest ze zwiedzaniem Gdańska i Poznania.

Osoby udające się do Karpacza mają możliwość poznania Wrocławia. Szczególną atrakcję turystyczną stanowi dla mieszkańców

tu markę mają instytucje polskie sprawujące opiekę nad turystami z NRD, a więc Orbis, PTTK, Gromada, Turysta, Sport-Tourist i Polski Związek Motorowy. Zeszłoroczni uczestnicy wyjazdów do Polski powracali zadowoleni z pobytu. Jak mnie zapewniano w Niemieckim Biurze Podróży, chwalili oni sprawność organizacyjną na terenie Polski, z uznaniem wyrażali się o polskiej kuchni i o obsłudze hotelowej w Polsce. Oczywiście polska kuchnia, czy też sprawna organizacja jest tylko uboczną siłą atrakcyjną.

Charakterystyczne, że głównym przedmiotem zainteresowania jest tu odbudowa Warszawy. Osoby udające się do Polski, pragną przede wszystkim zwiedzić naszą stolicę. Jak mogłem się przekonać z wielu rozmów, dla tych mieszkańców NRD, którzy ją teraz widzieli, Polska kojarzy się z olbrzymim rozmachem i wysiłkiem, z jakim odbudowywana jest Warszawa. Czy to studentki, pełne zachwytu dla pulsującego życia naszej stolicy, czy naukowcy pochłonięci swoimi problemami, młodzi architekci, którzy odbywali u nas praktyczne studia,

Aleksander Woydt

Po wiedzę o Polsce

NRD wyjazd do Zakopanego i pobyt w Tatrach, gdyż we własnym kraju nie mają oni tak wysokich gór. Podobnie pobyt w Tatrach — w Zakopanem czy Morskim Oku — kończy się wyjazdem do Krakowa oraz zwiedzaniem Nowej Huty i kopalni soli w Wieliczce.

Są też organizowane dla mieszkańców NRD krótsze wyjazdy do Polski, np. 3-dniowe na Targi Poznańskie, lub też parodniowe do Warszawy i Poznania.

Polska — obok Związku Radzieckiego i Bułgarii — należy do tych krajów, do których przyjazdy turystów z NRD wzrosną w tym roku dwukrotnie w stosunku do roku ubiegłego. Najlepszą propagandę wyjazdów do Polski robią tu uczestnicy zeszłorocznych wycieczek do naszego kraju. Dobrą

czy też zgola przypadkowo spotkane osoby w pociągu — wszyscy oni widzieli Polskę przez pryzmat wielkiego dzieła odbudowy Warszawy. Wydawało się nawet, że to chyba świadomość losu, jaki hitlerowcy zgotowali Warszawie, sprawiała, że dla wielu mieszkańców NRD, rozwój tego miasta nie jest sprawą obojętną. Szczególne uznanie, graniczące czasem ze zdumieniem, że w ogóle można było czegoś podobnego dokonać, budzi odbudowane Stare Miasto. Wielki respekt odczuwa się tu do naszego przywiązania do historii — które przekracza granice praktyczności istniejące od dawna w tym kraju.

W sumie, naocznie stwierdzony rozwój naszego kraju silnie przemawia do świadomości naszych sąsiadów niż jakiegokolwiek słowa pisane czy wygłaszane. Budzi szacunek i uznanie, budzi uczucia tak bardzo konieczne dla powstania nowej treści stosunków polsko-niemieckich.

ku dni. Tego rodzaju sabotaże powodowały wielkie straty materialne i nie dotrzymywanie terminów dostaw na potrzeby frontowe.

Trójki i piątki polskiej organizacji podziemnej rozwinęły także na dużą skalę sabotaż w ostrowskich warsztatach naprawczych taboru kolejowego (Reichsbahnausbesserungswerk).

W zakładach tych naprawiano wagony osobowe, towarowe i parowozy. Ze starych wagonów towarowych budowano kryte wagony mieszkalne dla potrzeb frontowych. Przebudowywano także wagony towarowe na pancerne wozy kolejowe. Produkowano ponadto elementy gąsiennicowe do czołgów. Po napaści Niemiec na Związek Radziecki, rozpoczęła się w tych warsztatach masowa produkcja pras do ściskania osi wagonów z szeroko — na normalnotorowe oraz budowa skrajni na potrzeby frontu wschodniego. Po klęsce armii niemieckiej pod Stalingradem i wycofywaniu się wojsk hitlerowskich z zajętych terenów Związku Radzieckiego, przystąpiono do masowej produkcji narzędzi służących do rozrywania torów kolejowych. W stolarniach warsztatów produkowano także składane baraki drewniane, które wysyłano na front wschodni.

Na skutek stosowania różnych metod sabotażu, zwłaszcza ciągłego wykradania dokumentacji i instrukcji technologicznych, produkcja w tych warsztatach była okresami całkowicie sparaliżowana.

Nie mogąc opanować sytuacji, Niemcy posłużyli się prowokacją. Na głównym torze kolejowym z Przygodzic-Ostrowa spowodowali oni wybuch cysterny z benzyną. Miejscowi prowokatorzy chcieli w ten sposób wykazać władzom przełożonym, że Polacy są „zaciętymi wrogami” i trzeba stosować wobec nich bezwzględne metody terroru. Na skutek tej prowokacji are-

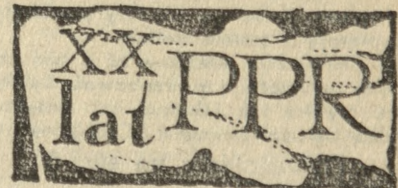
szowano około 500 pracowników warsztatów kolejowych i trzymano ich przez 6 tygodni w obozie przejściowym w Skalmierzycach. Spora liczba aresztowanych już nie powróciła z tego obozu. Zastosowano w warsztatach drakońskie metody wobec pracowników. Bicie stało się codziennym zjawiskiem. Jednego robotnika powieszono nawet na oczach całej załogi.

Metody terroru zawiodły. Sabotaż nie osłabił ani na chwilę. W rozpaczliwej dla siebie sytuacji na terenie zakładów Niemcy chwycili się innego środka. Gestapo skierowało do pracy w zakładach 3 swoich konfidentów, którzy mieli wykryć organizację polską działającą wśród robotników i organizującą sabotaż. Dzięki organizacji rychło zdemaskowano owych konfidentów, których gestapo szybko wycofało w obawie ich likwidacji przez Polaków. Do końca wojny Niemcom nie udało się opanować sytuacji w zakładach. Na terenie zakładów akcja sabotażowa kierowała TOW²⁾ i tajna komórka PPS (od r. 1943 — RPPS). Tajna organizacja PPS liczyła w Ostrowie podczas okupacji hitlerowskiej około 50 członków z Ludwikiem Sobisiem i Idzikiem Zemskim na czele. Wymienieni pracowali w warsztatach naprawczych taboru kolejowego.

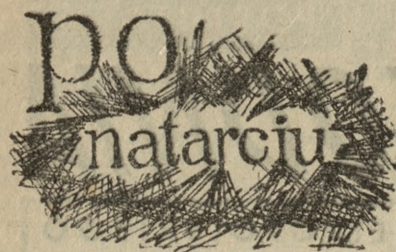
1) Skróć niemieckiej nazwy Zakładów H. Cegielski.

2) Tajna Organizacja Wojskowa.

Dokończenie na str. 3



Zygmunt Węgrzyn



Wiosna przyszła jak zwykle, a im zdawało się, że ominię ten smutny kwiecień — zryły pociski, nasiąkły krwią, cuchnący odorem rozkładających się trupów. Lecz przyroda jest silniejsza od człowieka i na przekór człowiekowi trawa zaczęła wyrastać. Okoliczne wzgórza pokryły się świeżą zielenią, krzewy osypały się białym kwiecikiem. Kikuty nagich drzew, które dotychczas sterczały posępnie, wznosząc ku niebu opalone i polamane konary, jakby w niemy skardze urągając człowiekowi, że je okaleczył i usiłował pozbawić życia — zaczęły nieśmiało wystrzelać drobnymi listeczkami. Niebo coraz częściej rozpogadzało się radując oczy nieskazitelnym błękitem. Błękit ten bywał jednak często zakłócany, przez płynące wysoko podobne do ławic srebrnych ryb — grupy bombowców.

Natarcie na klasztor, które z wielką siłą rozpoczęło się poprzedniego wieczoru, słabło coraz bardziej. Wzmagał się tylko ruch samochodów sanitarnych, które przywoziły rannych. Z namiotów szpitalnych, przyczajonych u stóp zbocza tak, ażeby nieprzyjacielska artyleria nie mogła ich osiągnąć ogniem, słychać było nawoływania sanitariuszy. Kilka samochodów sanitarnych przyjechało po ciężko rannych, ażeby przewieźć ich na tyły. Pojem sanitarki odjechały i nastała chwila spokoju. Nie trwało to jednak długo. Po kilku minutach przyszedł nowy transport rannych i sanitariusze zaczęli się uwić z noszami. Wynosili rannych z samochodów i ustawiali nosze rzędem przy namiotach w których dokonywano operacji i operacji. Rannych było dużo i sanitariusze upadali ze zmęczenia, pracowali bowiem bez przerwy kilkanaście godzin.

Nad wieczorem trochę się uspokoiło. Z jednego namiotu operacyjnego wyszedł chirurg w okrwawionym fartuchu, zdjął gumowe rękawice i rzucił je obok namiotu. Za chwilę z tego namiotu sanitariusze wynieśli rannego. Chirurg palił papierosa i zmęczonym wzrokiem odprowadzał nosze, które oni postawili za namiotami. Ranny zmarł podczas zabiegu.

— Prawdziwa jatka — syknął lekarz i usiadł na skrzyni przed namiotem. Oparł głowę o płótno namiotu i patrzył na tych leżących za namiotami, którym już żadna pomoc nie była potrzebna. Po chwili przykniął oczy i zastylł w bezruchu. Papieros trzymał w palcach, tlił się, a smuga dymu unosiła się ku górze. Sanitariusze wracali, oglądając się w kierunku drogi, skąd spodziewali się nowego transportu rannych. Jeden z nich podszedł do chirurga i ostrożnie wyjął mu z ręki tłącego się papierosa. Chirurg wcale się nie poruszył. Uśmiechnęli się do siebie.

— Od wczoraj słońce przy stole operacyjnym — powiedział młodszy z nich. — Od wczoraj, ale teraz go zmoczyło. — Wykończy się szybko, jak nie przysła jeszcze jednego lekarza — odpowiedział drugi.

Rozmowę przerwało kilka bliskich wybuchów, gdzieś niedaleko zaszczekał karabin maszynowy.

— Natarcie chyba się załamało — powiedział starszy sanitariusz, który ma czerwone oczy od niewyspania i mówił wschodnim akcentem.

— Jeszcze nic nie wiadomo — zawahał się drugi, potem obaj jednocześnie spojrzeli w stronę innego namiotu, z którego wyszedł sanitariusz w okrwawionym fartuchu, trzymając w ręce nogę uciętą powyżej kolana. Noga była poszarpana pociskami i widać było na niej brunatne sople zaschniętej krwi, a sanitariusz nie wiedział co ma z nią zrobić. Po chwili zastanowienia, ruszył w kierunku gdzie leżał poległy. Odkrył pierwszy z brzegu koc, położył nogę i wrócił szybko do namiotu.

— Ten będzie miał teraz trzy nogi, a tamtemu będzie musiała wystarczyć jedna — powiedział ten z czerwonymi oczami.

— Rzygać można z tego wszystkiego — skrzywił się młodszy.

— To rzygać, bo mnie już się nawet rzygać nie chce, a tamtemu będzie musiała wystarczyć jedna noga, o ile przedtem nie umrze. Pójdzie potem zbierać i nie będzie już nikomu potrzebny.

— Jesteś zmęczony i gadasz głupstwa. Zapal — młodszy podał mu papierosa a potem dodał:

— Nie warto teraz myśleć o tym czy będą nas później potrzebować. Ty też nie myślisz tak jak mówisz. Jesteśmy tylko bardzo zmęczeni. Człgąłeś się

Dokończenie na str. 3

Józef Pieprzyk

ZAWSZE MŁODA STAROŚĆ

Często spotykam się z twierdzeniem, że najmniej talentu muzycznego mają Wielkopolanie. Wypowiadający tę opinię opierają się na tym, iż poza Wacławem z Szamotuł i Kurpińskim — nikt więcej z naszego regionu nie wszedł do historii muzyki. Częściowo to prawda. Nie możemy się pochwalić takimi mistrzami jak Chopin, Moniuszko, Paderewski, Szymanowski, Karłowicz. Ale za to jesteśmy najbardziej w kraju rozśpiewani (i to od wieków); nie brakowało w Wielkopolsce nieznanym z nazwiska i z miejscowości kompozytorów ludowych, którym w sukurs szli ludowi poeci.

Oskar Kolberg mniej więcej przed 90-ciu laty jeżdżący po Ziemi Poznańskiej narzekał, że wielu pieśni nie może spisać, bo już wymarły, że ruch śpiewaczy osłabł... A przecież zebrał 1454 melodie, co stanowi 11 procent jego zbioru z całego kraju.

O rozśpiewaniu i talencie muzycznym regionu świadczą także nagrania, prowadzone od roku 1945 przez muzykologów Jadwigę i Mariana Sobieskich. Na 60 tysięcy melodii i pieśni — 10 tysięcy pochodzi z naszego terenu. (Zbiegiem okoliczności te same liczby by odnosiły się do obecnego stanu ruchu śpiewaczego: na 60 tysięcy śpiewaków w kraju, 10 tysięcy grupuje się w naszym województwie). Nie są to dane dokładne, bo przecież proszą się o uchwycenie na taśmie magnetofonową pieśń ludową w północnych powiatach. Akcja ta została przerwana z chwilą przejścia przez instytucję centralne zbioru na grafi wraz z J. i M. Sobieskimi.

Bogactwo zbiorów

Po zlikwidowaniu ośrodka pozostała tylko podległa Instytutowi Sztuki Polskiej Akademii Nauk — pracownia sekcji badań nad muzyką ludową. Kieruje nią doc. M. Sobieski z Warszawy, zespół zaś tworzą mgr mgr. Jarosław Lisakowski, Barbara Andrzejczak i Aleksander Pawlak.

Ta 3-osobowa grupa przygotowuje dzieła materiałowe. Barbara Andrzejczak, po zakończeniu opracowania pieśni

kończąc opracowania pieśni ludowych, pracuje obecnie nad kolekcjami; Aleksander Pawlak — nad regionem Kujaw, a Jarosław Lisakowski nad folklorem muzycznym Ziemi Kaliskiej oraz Warmii i Mazur. Materiałów dostarcza 500 taśm magnetofonowych o łącznej długości 125 km(!). Gdybyśmy chcieli wszystkie nagrania odtworzyć, potrzebowalibyśmy 7 pełnych dni i nocy.

Najbardziej może nas zainteresować folklor kaliski. W kartotece — 2 tysiące melodii ludowych. Najwięcej weselnych, potem zapustnych, do-

na... rubaszność nie nadaje się do publikacji.

— Teksty — stwierdza mgr J. Lisakowski — zmieniają się, dorabia się nowe do starych melodii. Jedną ze starszych śpiewaczek — poetek kaliskich będąc w powiecie średzkim poznała Stanisława Strugarkę. Zaraz na poczekaniu skomponowała:

**Żaden mi się nie podoba
ino Strugarek,
mo w kieszeni dwa tysiące,
złoty zegarek...**

Bogactwo folkloru wielkopolskiego już nie przepadnie, mimo że z roku na rok coraz mniej ludowych śpiewaczek, mimo że młodzież woli przeboje rozpowszechniane przez płyty patefonowe, radio i telewizję, wyraźnie odcinając się od „starzyzny”. Utrwalone na taśmach i w wydawnictwach książkowych — będą niewyczerpalnym źródłem dla kompozytorów.

Z pracowni naukowych

żynekowych, dyngusowych, wiele tanecznych; są i ballady, pogrzebowe, mniej zaś niż w innych regionach kraju — kołysanki. Ciekawe, że właśnie południowe powiaty (z wyjątkiem leszczyńskiego) naszego województwa wykazują więcej zainteresowania i zdolności muzycznych niż północne.

Czym się charakteryzuje nasza wielkopolska pieśń ludowa? Jest na ogół utrzymana w żywym tempie. Nie ma zaawodzeń, tak powszechnych w utworach ludowych stron wschodnich; kształtowały ją ongiś powszechne dudy wielkopolskie i koźły lubuskie.

Jeśli chodzi o przyspiewki, odznaczają się nieraz dowcipem, nie brak przekomarzań. Oto jedna z powiatu średzkiego:

**Wy chłopaki, wy lajdaki,
Co wy to robicie,
Panny się starzeją.
Wy się nie żeniecie.**

Wiele tekstów ze względu

Czyżby renesans?

Nie powiedziane jest także, czy nie będzie renesansu ludowych pieśni, gdy znudzą się przez swoją pospolitość współczesne mniej lub więcej piękne „szlagiery”. Zresztą już wchodzi do muzyki jazzowej, dostosowane do nowych wymogów kompozycyjnych.

I tu tkwi największa wartość „zakonserwowanej” w zbiorach muzyki ludowej, tej muzyki, która jak najbardziej odpowiada naszemu usposobieniu.

Trudno dokładnie przewidzieć dalszą drogę rozwoju, czy adaptacji, folkloru ludowego. To już zależeć będzie i od kompozytorów, i zespołów śpiewających, a także od odbiorców.

TUROSZÓW niedaleko POZNANIA

Dokończenie ze str. 1

i pompownie na Nysie, a Zakłady Naprawcze Taboru Kolejowego, spełniając prośbę załogi Turoszowa, zbudowały dla niej, znacznie przed ustalonym terminem, trzy spalinowe lokomotywy.

Współczesny Turoszów! Składa się nań zamierzenie skoncentrowania 1400 megawatów mocy, coraz pilniej potrzebnej dla nowych zakładów przemysłowych, dla coraz nowych gospodarstw chłopskich, dla coraz liczniejszych pralek i telewizorów.

1400 megawatów — to przeszło jedna czwarta tego, czym dysponowali my w kraju jeszcze 4 lata temu. Ale to nie wszystko. Turoszów, to także gigantyczne odkrytki, otwierające dostęp do miliarda ton brunatnego surowca, wielokilometrowe linie taśmociągów i potężne cielska koparek, wiejska uliczka rozsiedzana wielkomiejskim ruchem, małe domki schowane w ogródkach i wyrastające obok nich elektrownie.

Dzisiejszy Turoszów to jednak przede wszystkim „akcja 400” — ambitne zamierzenie budowniczych, by już w tym roku uruchomić dwa turbosopły po 300 megawatów każdy, zamiast jednego, jak to przewidywały pierwotne plany budowy. W maju zeszłego roku mówiło się w Turoszowie o dyskusjach i badaniach takiej możliwości, o szansach podjęcia niełatwej próby. W lipcu, rezultaty dyskusji zostały ostatecz-

nie skonkretyzowane: Turoszów złoży zobowiązanie.

„Akcja 400” stała się sprawą codziennego wysiłku, inicjatywy, przez zwyciężania trudności.

Od samego początku nie była ona wyłącznie sprawą budowniczych kombinatu. Była także sprawą 400-tu tysięcy ludzi z dziesiątków fabryk i przedsiębiorstw z całej Polski, współpracujących w tej budowie. Była w jakiś sposób sprawą każdego mieszkańca kraju.

Nazwano Turoszów skutecznym „satorium dla pesymistów”. To trafne określenie. Dziś widoczna jest wyraźnie realność „akcji 400”. Możemy z satysfakcją stwierdzić, że również w Poznaniu nie szczędzono wysiłków by się ona powiodła.

JANUSZ MATUSZYŃSKI

Maciej Olszewski

„HYDRA”



pod które — jak wynikało z tekstu — miał się zgłosić po przetruceniu drogą powietrzną do Niemiec, jeden z przebywających na emigracji w Związku Radzieckim działaczy Komunistycznej Partii Niemiec.

Rozwiązana zagadka

Zaproszone do współpracy Gestapo natychmiast sprawdziło adresy. W ten sposób nie tylko zidentyfikowano pierwszych uczestników znieprawdzonej organizacji, ale ponadto rozwiązano pierwszą z dręczących Abwehrę zagadek: dlaczego owi „czerwoni muzykanci” mogli przekazywać eterem tak dokładne i ważne informacje, zaliczane częstokroć do rzędu najważniejszych tajemnic brunatnej Trzeciej Rzeszy. Oto bowiem mieszkańcami Berlina, do których latem 1941 r. miał się zgłosić przybył z tamtej strony frontu wschodniego były:

► porucznik Luftwaffe Harro Schultze-Boysen, pracujący w ministerstwie lotnictwa i (m. in. ze względu na to, że był wnukiem samego wielkiego admirała Tirpitz) dopuszczany przez snobistycznego Goeringa do kręgu szczególnie zaufanych osób;

► dyrektor wydziału planowania w ministerstwie gospodarki Trzeciej Rzeszy i z tego tytułu też mający dostęp do ważnych tajemnic — dr Arvid Harnack;

► naczelny inżynier Hans Becker, uchodzący za czołowego specjalistę w dziedzinie rozbudowy produkcji samolotów bombowych i myśliwskich...

Akta sprawy, która do tego czasu Abwehra mogła określać jedynie umowną nazwą „Rote Kapelle”, zaczęły teraz szybko rozrastać się o teczki zaopatrzone już konkretnymi nazwiskami. W pierwszym rzędzie tych trzech zdradzonych przez starą depezę.

Coro

Kiedy zaczęto kompletować informacje na temat przeszłości Harro Schultze-Boysena okazało się, że od dawna był „zakalą” zapisanego złotymi głoskami w dziejach imperializmu niemieckiego rodu Tirpitzów. Należał co prawda przez krótki czas do „Zakonu młodzieży młodoniemieckiej”, ale wystąpiwszy z niej, nie tylko zerwał z ideologią nacjonalistyczną, lecz stał się jej zdecydowanym wrogiem. Już jako osiemnastoletni chłopak zamieszkał demonstracyjnie na jednym z najbardziej proletariackich przedmieści wschodniobерлінских, a w dwa lata później rzucił studia i oddał się całkowicie pracy politycznej. Wprawdzie redagowane przez niego wówczas pismo „Die Gegner” (wrogowie) niewiele jeszcze miało wspólnego z marksizmem, było jednak tak zdecydowanie wrogiem ruchowi nacjonalistycznemu, że zostało zakazane natychmiast po zdobyciu władzy przez Hitlera. Przy okazji „obwieszczenia” to bojówka SA zdemolowała redakcję pisma i mieszkanie Schultze-Boysena, zastrzeliła na miejscu drugiego redaktora, samego zaś „renegata” skatowała i nieprzytomnego zabrała do więzienia. Ale uratowały go wówczas znajomości matki... One też, widać, dopomogły młodemu Harro — wpisanemu przez stołeczną SA na czarną listę przeciwników reżimu — pozabawionym prawa zamieszkiwania w Berlinie — dostać się już w roku 1934 do jednej z pierwszych szkół oficerskich przyszłej Luftwaffe, zamaskowanej jako jednoroczny kurs pilotów komunikacyjnych w Warnemuende. A ponieważ wyróżniał się swymi zdolnościami i umiejętnościami, został po oficjalnym złamaniu przez Trzecią Rzeszę wojskowych ograniczeń traktatu wersalskiego, powołany do pracy w intensywnie rozbudowywanym ministerstwie lotnictwa. Jego pozycja w ministerstwie była tym bardziej mocna (cieszył się powszechnie opinią zaufanego człowieka samego Goeringa), że będąc wnukiem Tirpitz,

Smacznego!



Z fototeki K. Przychodzikiego

Baedeker poetycki Olsztyn

W porównaniu z innymi ośrodkami wojewódzkimi, Polski północno-zachodniej Olsztyn wystąpił ze swoją biblioteczką debiutów poetyckich stosunkowo późno, bo dopiero w roku 1960, i do dziś nie zdobył jakiegos trwałszego miejsca w literaturze krajowej. I to bynajmniej nie dlatego, iżby opinia literacka kraju miała się nie interesować działalnością poetów olsztyńskich. To raczej dotychczasowe utwory tych poetów nie zasłużyły sobie jeszcze na trwalszą pamięć i uwagę.

Jeśli mimo to baedeker niniejszy objawia zainteresowanie niektórymi przynajmniej poetyzującymi olsztyńszczyznami, stanowi wyraz głębokiego przeświadczenia autora, iż należy przynajmniej odnotować nazwiska autorów pierwszych tomików poetyckich, pozwolić słuchać się z tymi nazwiskami czytelnikowi, jako że nie jest nigdzie powiedziane, że autorzy pierwszych, nawet złych książek nie mogą napisać w przyszłości książek lepszych. Mam natomiast podstawy sądzić, że należy wkrótce oczekiwać na przykład bardzo interesującego zbioru wierszy z podpisem Kazimierz Sopucha.

Olsztyn legitymuje się dotąd sześcioma tomikami poetyckimi. Cztery pierwsze, podpisane nazwiskami **Edmunda Germana**, **Jana Sobczyka**, **Kazimierza Śladowskiego** oraz wspomnianego już **Kazimierza Sopucha**, omawiał przed przeszło rokiem w „Twórczości” Stanisław Czernik. Zgadza się z jego oceną. Też mam najlepsze mniemanie o tomikach Edmunda Germana i Jana Sobczyka, przede wszystkim przez wzgląd na nad wyraz szczere wyznania biograficzne, w jednym wypadku autochtona, w drugim — przybysza z Łodzi, mającego za sobą doznania łódzkiego geila.

Wiersze tych poetów traktują o autentycznych zdarzeniach, zaletą ich jest konkretność, przeżycie liryczne i intelektualne — u Germana, w tomiku „Gorzką pęk rzeczywistości”, jeszcze jednak często sformułowane nieporadnie, u Sobczyka, w tomiku „Światło wiatrów”, bardziej dojrzałe i lapidarnie. Stanisław Czernik, we wspomnianym uprzednio artykule w „Twórczości”, widzi w osobie Edmunda Germana autentycznego następcę poprzednich generacji poetów warmińskich, w twórczości natomiast i osobie Jana Sobczyka dostrzega autentyczny talent poetycki.

„German — jak pisze Czernik — podejmuje tradycję rodzinnej wioski i w wierszu „Gietrzwałd”, poświęconym pamięci Andrzeja Samulowskiego, wyraża pragnienie napisania najpiękniejszego poematu „o ludziach, którzy za miłość nie wahali się oddać życia, o człowieku, który kochać i walczyć uczył”...

Wydaje się, iż podejmuje swój „gorzką pęk rzeczywistości” z przekonaniem, że wchodzi na trudną i zobowiązującą drogę, w walce „z chmurami zwalpien” i nie byle jakich obsesji, których nie poskapiło mu młode życie”.

„Najciekawszy, jako poeta — to znowu słowa Stanisława Czernika — niewątpli-

wie jest Jan Sobczyk... Poezja jego wszystkimi korzeniami tkwi w biografii jego „kałkiej młodości”, jak sam autor określa: „Wystrzelano moich najbliższych”, „Chłostał mnie na pastwisku wiatr”, „Wszystko mnie żarzyło obcych ludzi”, „W ścieżkach złośliwych... Liryczna rozrachunkowa ze światem, z ludźmi, z pojęciem Boga, z miłością, liryczna zdawałoby się skrajnie pesymistyczna, ale tak z chybą nie jest, poezja przynosi katarsis, co widać przede wszystkim w tak sugestywnych wierszach, jak „Ręce” oraz „Widokówka prowincjonalna”.

Kazimierz Śladowski ułożył swój tomik „W gałęziach snu” z wierszy na różne tematy, z wierszy o bardzo nierównej wadze gatunkowej. Przewijają się więc tu motywy wojenne, szpitalne, krajoznawcze, utrzymane bez wyjątku w nastroju melancholijnym, smutnym. Czernik opiniuje następująco:

„Śladowski jest poetą kameralnym, najbardziej odpowiada mu miniatura liryczna, i w tym dziale można odnotować niektóre ciekawskie wiersze, jak „Ostrzeżenie przed nocą”, „Pożary” i in. W sumie: tomik skromny, nieco blade, ale bądź co bądź zapowiedź pozytywna”.

Ocena więc bądź co bądź powściągliwa. Zdecydowanie negatywne zdanie wypowiedział Czernik tylko o tomiku Sopucha. I istotnie. Sopuch w swoim tomiku nie wyszedł właściwie poza sprawy miłości dwojga ludzi, starał się ten temat jakoś inaczej przedstawić, ale bez powodzenia. Wiersze jego są za mało pretensjonalne, nie zdała się też na nic jakaś modlitewna maniera w ukazywaniu erotyzmu.

Z tomików, które nie zdobyły nawet takiej oceny, jeśli nie liczyć drukowanej wierszomani Naniowskiego, pozostały jeszcze zbiorki podpisane nazwiskami **Mariana Nikadona** oraz **Leonarda Turkowskiego**.

Wiersze Nikadona, zawarte w tomiku „Dzień następny”, przypominają pod wieloma względami utwory Edmunda Germana. Podobnie tu zainteresowanie krajoznawczym występuje, a wszystko w prostym, opisowym utrzymaniu, sentymentalne, by nie rzec banalne. Jedno, co występuje u Mariana Nikadona bez analogii do innych młodych poetów współczesnych, to próby dłuższych poematów opisowych.

Nie odbiegł też od swych olsztyńskich kolegów w swoim tomiku „Dojrzwianie” Leonard Turkowski, debiutujący przed wojną, w roku 1935, a więc już dziś raczej reprezentant starszego pokolenia literackiego. Dość ciekawie zapowiadała się u niego część zbioru poświęcona uczuciom rodzinnym, chociażby z uwagi na pomijanie tej tematyki przez współczesną poezję, ale w rezultacie niczego ciekawego na ten temat nie dowiadujemy się od Turkowskiego. Jeszcze gorzej wyglądają dalsze części tomu.

Takie są owe poetyckie zbiorki olsztyńskie, ani gorsze, ani lepsze od zbiorów innych ośrodków w końcu. Taką jest owa nowa generacja „w kręgu ogólnej twórczości poetyckiej warmińsko-mazurskiej”. Wizytówka to za ledwie, zapowiedź, nie upoważniająca do wróżb. Jeśli jednak pozwoliłem sobie na taką wróżbę w wypadku Kazimierza Sopucha, podstawy do niej miałem w zaznajomieniu się z wierszami tego poety niepublikowanymi dotąd, z wierszami najświeższej daty. One w końcu zdecydowały o przyszłości literackiej Olsztyna.

Feliks Fornalczyk

WIELKI SABOTAZ

Dokończenie ze str. 1

21. II. 1942 r. robotnicy polscy zatrudnieni w porcie rzeczonym na Warcie w Poznaniu, należący do polskiej organizacji podziemnej, podpalili pełne magazyny, w których znajdowały się towary wielkiej wartości. W tej akcji dywersyjnej wzięli udział również konspiratorzy, którzy nie byli zatrudnieni w porcie rzeczonym. W następstwie tej akcji Gestapo aresztowało 40 osób, z których większość wyrokami sądu nadzwyczajnego w Poznaniu skazano w roku 1943 na karę śmierci.

Polski ruch oporu prowadził dywersję gospodarczą i akcję wywiadowczą także na terenie koszar niemieckich jednostek wojskowych stacjonujących w Poznaniu. Na przykład w koszarach wojskowych przy ul. Kościuszki w Ostrowie grupa konspiratorów polskich zatrudniona w magazynach wojskowych podczas numerowania masek przeciwgazowych, psuła je. Tysiące tych niezdanych do użytku masek wysyłano na front wschodni. Ponadto systematycznie niszczone w koszarach przewody wodociągowe i elektryczne, wykradano i niszczone broń, szczególnie ciężkie karabiny maszynowe i broń automatyczną. Broń ta wysyłana na front wschodni nie miała żadnej wartości bojowej. TOW wykonywała plany nowego ckm niemieckiego, rozmieszczenia uzbrojenia i zaopatrzenia. Sporządzone pla-

ny przesyłano do głównych ośrodków wywiadu polskiego i alianckiego, najczęściej przez Warszawę.

To wszystko można było osiągnąć w koszarach przy poparciu niektórych żołnierzy niemieckich. Byli to Polacy z Westfalii oraz niemieccy komuniści. Zbierali się oni na narady w pokoju jednego z podoficerów lub w mieszkaniu Antoniego Piekarka przy ul. Krotoszyńskiej 53. Z tą grupą żołnierzy niemieckich kontaktowali się na terenie koszar członkowie polskiej organizacji wojskowej. Do nich zaliczali się: L. Działoszyński, J. Kosmala, S. Michalski, A. Prałat, a zwłaszcza Antoni Piekarek, który zdobył się na wielką odwagę. W środowisku czysto niemieckim i wojskowym, w piwnicy bloku koszarowego nr 1 odebrał od tej grupy przysięgę na wierność polskiej organizacji podziemnej.

LUDWIK GOMOLEC

*

W akcji sabotażowej nie ograniczano się tylko do wymienionych przykładów. Przemysłową i skuteczną działalność sabotażową uprawiano prawie w każdej miejscowości. Obszernie pisze o tym Ludwik Gomolec w pracy poświęconej działalności dywersyjno-partyzanckim na terenie Wielkopolski podczas okupacji hitlerowskiej 1939—1945.



Ilustr. — Ewa Pruska

ożenił się ponadto z córką zaprzyjaźnionej właśnie z Goeringiem hrabiny von Eulenburg. W efekcie — był zatrudniony właśnie w biurze studiów, a więc miał wgląd do najbardziej sekretnych materiałów, dotyczących przyszłych działań bojowych Luftwaffe...

Prowadzący śledztwo funkcjonariusze nie mogli mieć już wątpliwości. Właśnie od Schultze-Boysena musiały pochodzić najściślejsze informacje dotyczące najbardziej choćby sekretnych planów operacyjnych Wehrmachtu. Złazacza, że zasyfrowane meldunki, w których „czerwoni muzykanci” przekazywali owe informacje Armii Radzieckiej, zaopatrzone były w pseudonim „Coro”. Identyfikacja z używanym przez Harro Schultze-Boysena w czasie jego działalności w „Die Gegner”.

Komunista

Jak wykazała prowadzona energicznie inwigilacja wszystkich osób, z którymi stykali się obserwowani ludzie, dawny redaktor antyfaszystowskiego pisma grupy inteligentów o nieskrystalizowanym jeszcze obliczu ideowym, musiał być teraz silnie powiązany z nielegalną KPD.

Choćby przez także 33-letniego Waltera Husemana. Z zawodu wykwalifikowanego robotnika, od wczesnej młodości działacza „Komunistycznego Związku Młodzieży”, następnie reportera komunistycznych dzienników „Rote Fahne” i „Ruhrecho”, wreszcie od roku 1933 funkcjonariusza podziemnej KPD: aresztowanego już raz w 1936 roku i osadzonego w Buchenwaldzie, skąd zbiegł i nadal działał pod fałszywym nazwiskiem, teraz zaś został odkryty jako dobry znajomy Schultze-Boysena.

„Arvid”

Również drugi spośród zdradzonych przez rozszyfrowany tekst starej depeszy czołowych działaczy „Rote Kapelle” — dr Arvid Harnack, pochodził ze znanej w Niemczech rodziny. Jego ojciec — Otto, był znakomitym historykiem literatury niemieckiej, stryj — Adolf von Harnack wybitnym teologiem.

Ale przy okazji „prześwietlenia” przeszłości autora przekazywanych eterem meldunków o gospodarce Trzeciej Rzeszy — co zdawało się tym pewniejsze, że zasyfrowane radiodepesze podpisywane były właśnie identycznym z imieniem pseudonimem „Arvid” — wyszło na jaw, że już

w zimie 1930/1931 założył wraz z prof. dr. Friedrichem Lenzem „Wspólnotę roboczą dla badania radzieckiej gospodarki planowej”.

Wszechobecni

Te rewelacje wystarczały, by sprawa „Rote Kapelle” nabrała posmaku wyjątkowego skandalu. Na funkcjonariuszy Abwehry i Gestapo — miast spodziewanych pochwał za sukcesy osiągnięte przy tropieniu komunistycznego podziemia — posypały się gromy. Za brak czujności, za niedołęstwo, za tak późne wykrycie wroga, prowadzonej bezkarnie we wszystkich ważniejszych ogniwach hitlerowskiej maszyny działalności. Złazacza, że każdy kolejny sukces organów śledczych, podcigał za sobą ujawnianie nowych, jeszcze bardziej kompromitujących brunatny kontrwywiad szczegółów.

I tak na przykład: cenny informacji z ministerstwa spraw zagranicznych dostarczali „Rote Kapelle” b. radca ambasady niemieckiej w Warszawie — Franz Schelha i jego sekretarka — Ilse Stoebe; w goebbelsowskim ministerstwie propagandy działał aktywny członek grupy — Horst Heilmann, w ministerstwie pracy — Erika von Brockdorff i Elisabeth Schumacher. Ponadto żona Schultze-Boysena, Libertas Haas-Haye (córka hrabiny von Eulenburg), która załamowała bardzo odpowiedzialne stanowisko w administracji niemieckiej kinematografii, z powodzeniem utrudniała produkcję filmów propagandowych; profesor Werner Kraus usiłował doprowadzić do zamieszania w stosunkach Niemiec hitlerowskich z frankistowską Hiszpanią i to poprzez świadomie fałszywe tłumaczenia oficjalnych publikacji z tego zakresu itd. itd.

Sieć informatorów „czerwonych muzyków” była tak rozgałęziona i tak wszechstronna, że jak mógł po wojnie zakpić zachodni historyk Reitlinger — wolna od nich była chyba tylko jedna, jedyna kancelaria partii hitlerowskiej kierowana przez... Martina Bormanna. Nic dziwnego, więc, że w miarę jak postępowało śledztwo, „Rote Kapelle” coraz częściej bywała porównywana przez jej wrogów do wielogłowej hydry.

Za tydzień:

Tajemnicza walizka — Głową na dół — Bez rozgłosu!

po natarciu

Dokończenie ze str. 2

jednak nad ranem po tego rannego pod obstrzałem.

— Jeżeli tu jestem, muszę robić co do mnie należy, ale gdyby mnie tu nie było, miałbym to wszystko w d... — odpowiedział. Potem obaj zamiklali i spojrzeli na drogę, którą nadjeżdżał jeep, ciągnąc za sobą smugę kurzu.

Jeep zatrzymał się i wyskoczył z niego mały, gruby korespondent wojenny, którego spotykali jeszcze przedtem nim natarcie ruszyło. Rozejrzał się, a potem poszedł gdzieś między namioty.

— Fabrykanci bohaterów — mruknął ten starszy — ciekawe, że wszyscy korespondenci wojenni i literaci, widzą i spotykają na froncie tylko samych bohaterów, a ja ich prawie nie spotykam. Bo każdy boi się śmierci, a z chwilą gdy przesłaje się jej bać, znaczy że dostał bzika, jak ten o którym opowiadali pod Tobrukiem, że na widok niemieckich czołgów, zaczął przewracać koziołki z uciechy.

Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale nadjechały dwie sanitarki z rannymi, więc obudzili chirurga i pobiegli do samochodów.

Chirurg nie wiedział jak długo spał, zerwał się i z lekka zataczając się wszedł do namiotu operacyjnego. Gdy po kilku minutach pochylił się nad stołem operacyjnym, zmęczenie usłapiło. Sanitariusze przygotowywali rannego do operacji. Był to łęgi chłop, jeszcze trochę zaszkokowany, ale już powoli przychodził do siebie. Z zawieszonych nad stołem butelek, sączyła się krew do zyl rannego. Tysiące takich butelek przywoziły codziennie samoloty z Anglii, ażeby ratować życie tych, których krew wsiąkała we włoską ziemię.

Chirurg próbował nawiązać rozmowę z rannym, ażeby wyrwać go z szoku. Pytał go o natarcie o kolegów i o rodzinę. Ranny powiedział, że ma czworo dzieci. Połem uspił go. Lekarz, zaciskając naczyńia krwionośne i nakładając szwy na ranę podbrzusza, przez chwilę pomyślał o dzieciach rannego, oraz o tym, że pewnie ich więcej nie zobaczy, bo stan jego był beznadziejny.

W namiocie operacyjnym było duszno i mdły zapach krwi mieszał się z słodkawym zapachem chloroformu. Kończyli właśnie jakąś kolejną amputację, gdy powierze zadrało od wybuchów. Niemiecka artyleria rozpoczęła nagle ogień. Wybuchy były coraz bliższe i co najdziwniejsze pociski zaczęły wybuchać po tej stronie, gdzie były namioty szpitalne. To nie mogła być artyleria, to były moździerze, których przedtem Niemcy nie mieli na tym odcinku frontu. Chirurg spokojnie zakładał opatrunek, potem polecił wnieść następnego rannego. Sanitariusze wyszli i nagle namiot zadrał, szarpnął nim podmuch i rozleźł się połyżny huk, drugi, trzeci, czwarty. Ziemia drżała i jęczała a odlamki siekły po namiotach, po rannych, po trupach i po tych z opaskami czerwonego krzyża na rękawach.

Połem nastąpiła cisza. Tak nagle że aż się wierzchy nie chcieli, że już się skończyło. Chirurg wyszedł z namiotu. Wokół unosił się swąd spalenizny. Dwa namioty z rannymi były w strzępach, a ranni ponownie ranieni, jęczeli wzywając pomocy. Wszędzie było pełno bandażi, prześcieradeł, połamanych szkła, a między tym, zmasakrowane ciała ludzkie. Emblematy czerwonego krzyża, które przedtem były z daleka widoczne na namiotach, zwały się łańcuchem, postrzępione i podziurawione. Po chwili zaczęli pojawiać się sanitariusze, wychodzili jakby z pod ziemi, zakurzeni, okrwawieni, podobni do upiórów. Rozglądali się bezradnie, nie wiedząc od czego zacząć. Chirurg stał załamanym tym widokiem, ale po chwili wyprostował się, kiwnął ręką i zawołał: Dawajcie na stół. I rozpoczęli od nowa.

Jako pierwszego chcieli wziąć na stół tego sanitariusza, który miał czerwone oczy od niewyspania i który twierdził, że nie spał na froncie bohaterów. Ale nie pozwolił się ruszyć, dopóki ciężko rani nie będą „polatani”. Sam dostał odlamkiem w brzuch i powoli tracił przytomność. W nocy przyjechały sanitarki po ciężko rannych, więc odesłali go pierwszym samochodem. Nazajutrz otrzymali wiadomość, że w drodze zmarł. Nie dowiedział się czy byłby po wojnie potrzebny.

W południe słońce mocno przygrzewało i chciało się pić. Wody było mało i śmierdząca okropnie, a po wypiciu chciało się rzygać. Wszyscy już wiedzieli, że natarcie się nie powiodło i że przygotowuje się drugie.

ZYGMUNT WĘGRZYN

Jan Danecki

WOLGOGRAD — DZISIAJ

Wrócili z wojny — pierwszych parę tysięcy, w ciągu roku — już sto tysięcy. Postawili wśród gruzów namioty, lepianki. Ktoś przed swoim namiotem wywiesił tabliczkę: ulica Pokoju, numer 1.

Zbliżała się wiosna, trzeba było pochować zwłoki poległych. (Pojczona: 147 tysięcy żołnierzy Paulusa i 47 tysięcy Obrońców.) Potem — zabrano się do rozbioru; wokół zgłiszcz stawiano wysokie płoty... W gruzach było: 41 685 domów (80 proc. całej substancji mieszkaniowej, 124 szkoły, 126 fabryk, szpitale, teatry, instytuty naukowe.

Pytali ich cudzoziemcy: — jak możecie żyć na tym cmentarzu?

— My — nie stróżę cmentarni, my — budowniczo.

Ta odpowiedź warta jest, by zapisać ją w kronikach miasta.

*

Wolgograd — dzisiaj.

Szerokie, przestronne ulice i jasne, bardzo jasne, nowoczesne bloki mieszkalne. Bulwary spadające ku Wołdze, dużo skwerów, kwiatów, zieleni.

Nawet Leningradzki Prospekt — jedna z imponujących nowoczesnych arterii Moskwy — po powrocie z tamtego miasta wydał się nie tak szeroki, uboższy w zieleni. Tam, w Wolgogradzie, jest bowiem tak: najpierw szeroki chodnik, wysadzony u skraju rzędem młodych drzew, potem jezdnia na sześć rzędów aut. Potem aleja-skwer; w środku laweczki, z obu stron kwiaty, bujne krzewy i parę rzędów drzew; a potem znów taka sama jezdnia, linia drzew... Takie jest całe prawie centrum, takie ma być — całe miasto.

I tylko raz w ciągu trzydniowych wędrówek po Wolgogradzie natknąłem się na zgłiszcz; żelazobetonowy szkielet starego, potężnego młyna. Stoi tuż nad rzeką — pozostawiony tak specjalnie. — Dla pamięci tamtych lat i ku przestrodze — objaśnia ktoś stojący obok.

W tym mieście nie sposób uwolnić się od wspomnień. Wiele tu tablic pamiątkowych, pomników, kwiatów, które znaczą — ulica po ulicy — historię legendarnej już dla dzi-

ściszego pokolenia bitwy stalingradzkiej. W miejscach tych zawsze świeże kwiaty. A w centrum miasta — ogromny Plac Poległych Bojowników. Tu, u stóp obelisku — na braterskiej mogile poległych składają prawie codziennie wieńce przybyłe z całego Związku Radzieckiego i z wielu miast świata. Naprzeciw — u drzwi eleganckiego domu towarowego — wmurowana tablica: „W piwnicach tego budynku został uwięziony do niewoli ze swoim sztabem feldmarszałek Paulus”.

To było 31 stycznia 1943 roku. W dwa dni później — 2 lutego, podpisany został akt kapitulacji 330-tysięcznej armii von Paulusa.

— Za późno... — powie mi spotkany w samolocie marszałek Andriej Jeremienko, słynny dowódca frontu stalingradzkiego.

— To był ostatni błąd hitlerowców pod Stalingradem; każdy dzień wtedy pogłębiał już tylko beznadziejność ich sytuacji, powodował nowe, potworne ofiary.

— A najważniejszy błąd — pytam?

— Najważniejszym był pierwszy: samo natarcie. Nieprzyjacieli nie obliczył sił, a osłabił je jeszcze potem ofensywą na Kaukaz. Z militarnego punktu widzenia było to czyste awanturnictwo.

W rachunku sił liczy się zresztą nie tylko potęgę materialną. Stoję właśnie przed długą, czteropiętrową kamienicą. To „Dom Pawłowa” od nazwiska sierżanta, który z trzema żołnierzami wdarł się nocą do domu, zajętego przez silny oddział faszystowski i wypłoszył granatami cały garnizon. Na pomoc tej czwórce udało się przebić tylko kilkunastu żołnierzom; ta 24-osobowa garstka cpięrała się szturmom hitlerowców przez 58 dni.

Ten dom jako pierwszy został odbudowany; teraz jest — jak wszystkie prawie — jasnokremowy. A na pełnym zieleni dziedzińcu, w ciepłe jeszcze słoneczne popołudnie gwarno i wesoło harcują dzieciarnia.

W ogóle w tym mieście jest dużo, bardzo dużo dzieci.

— To nas raduje — mówi przewodniczący Rady Miejskiej, Aleksander Dynkin. Ale zarazem nakłada na nas poważną odpowiedzialność.

Charakterystyczne: w najstarszych klasach szkół wolgogradzkich uczy się po 2,5—3 tysięcy dzieci, zaś do pierwszych klas przyjmuje się 11 tysięcy. I liczba ta będzie wzrastać. Więc trzeba budować i budować: szkoły, przedszkola, szkoły-internaty.

— To jedno z najistotniejszych, najbardziej palących zadań. I oczywiście — budownictwo mieszkaniowe.

Ludność miasta przekroczyła już znacznie stan przedwojenny. I choć mieszkań jest prawie dwa razy tyle — to nas daleko nie zadowala — opowiada dalej A. Dynkin.

Osiągnięto już w Wolgogradzie normę 7 metrów kwadratowych na jednego mieszkańca; tylko w ciągu

ostatnich dwóch lat — nowe mieszkania otrzymało ponad 100 tysięcy ludzi. Teraz zadanie brzmi: do 1965 roku — 9 metrów kwadratowych na każdego mieszkańca.

Więc Wolgograd jest nadal wielkim placem budowy. Ruszyły tu parę lat temu zakłady produkujące budowlane konstrukcje żelazobetonowe — jedne z pięciu tej mocy w ZSRR. Można zobaczyć tam całe ściany z drzwiami i balkonami, gotowe klatki schodowe, łazienki... To wszystko montuje się dopiero na placu budowy. Moc produkcyjna tych zakładów: 106 tysięcy metrów kwadratowych powierzchni mieszkalnej rocznie. Miną jeszcze dwa lata, a z gotowych elementów budować się będzie trzy razy tyle.

*

Miasto więc jest. Jest na tym samym miejscu, jest większe i jak mówią — od dawnego piękniejsze. To zresztą nie tyle odbudowa, ile budowa według nowego planu, realizowanego krok za krokiem od chwili zakończenia wojny.

Dom Architektów. Stoimy przed wielką makietą. Błękitna wstęga Wołgi, w jej załamaniu wąską, długą podkwaśną rozciąga się miasto. Białe zespoły domów, regularne kwadraty mikrorejonów, proste linie bulwarów.

— Stary Carycyn żywiłowo ciążył ku Wołdze — opowiada architekt Fiodor Lysow. — Tu był port, tu przeładunek, tu — nad samą rzeką — przerabiano zboże z Powołża i drewno, spławiane do niedalekiego Donbasu, tu na donbaskim węglu powstawał przemysł metalurgiczny.

Miasto „wyciągnęło się” wzdłuż rzeki na 75 kilometrów. Tę ideę zachowaliśmy w generalnym planie. Ale teraz nad rzekę przenosimy punkty mieszkalne, a przemysł — możliwie jak najdalej poza granice miasta.

Więc pierwszy problem architektów: komunikacja. Trzy równoległe, nowoczesne, arterie — wiązać będą krańce tego tak oryginalnie rozłożonego miasta. I problem drugi, przed którym stanęli architekci: zmienić warunki klimatyczne. Otóż liczba słonecznych dni jest tu taka jak w Jalcie czy Soczi. Ale klimat zupełnie inny: silne wiatry z pustych środkowo-azjatyckich nioszą na miasto tumany piasku, wysuszają dodatkowo klimat. Toteż ta zieleni, która tak urzeka — jest nie tylko elementem estetyki. Bedzie jej jeszcze więcej — znacznie więcej, niż przyjęto w optymalnych normach europejskich. A wszystkie jary, których tu mnóstwo, napełnione zostaną wodą z nowo utworzonego „morza” przez zapórę wołżańskiej elektrowni wodnej. Nawiasem mówiąc, oba te nowe morza — wołżańskie i cymańskie z drugiej strony Kanału Wołgi — Don wywołały już tutaj odczuwalne zmiany w klimacie. Latem jest wiele znośniej, wilgotniej — mówią mieszkańcy Wolgogradu.

Eugeniusz Paukszta

Mieszanka reprezentacyjna

Po natioku wydawniczym w okresie majowych dni oświaty i książki, nieco mniej pozycji ukazuje się teraz spod prasy drukarskiej. Jakościowo jednak w większości są to pozycje cenne i znajdują się w rękach zapalonych amatorów, zatem spieszę je zaanonsować czytelnikom, dopóki jeszcze czas.

Przede wszystkim prawdziwy rarytas wydawniczy, nowa kapitalna pozycja PWN-u, przekład pracy małżonków Charles A. i Mary R. Beard „ROZWOJ CYWILIZACJI AMERYKANSKIEJ”, najpełniejszego chyba z dotychczasowych studium o narodzie i społeczeństwie amerykańskim. Jest to ambitna próba stworzenia syntetyz historyi Stanów Zjednoczonych, doskonała w formie literackiej, niesłychanie wszechstronna, poprzez nacisk na ekonomiczną interpretację dziejów umożliwiającą ukazanie rozwoju społeczeństwa Ameryki w wielkim panoramicznym obrazie.

Wzbogaciła się również ostatnio biblioteka filozoficzna PWN-u o dwie nowe, wartościowe pozycje. Oto wreszcie po raz pierwszy w

języku polskim ukazał się skondensowany skrót podstawowego dzieła „METODA POZYTYWNA W SZESNASTU WYKŁADACH”, twórcy systemu tzw. filozofii pozytywnej Augusta Comte'a. Drugą cenną pozycją jest „MYSL LEONARDA” Cesare Luporini'ego, jednego z czołowych badaczy twórczości człowieka, który stojąc na pograniczu niejako dwóch światów jak nikt inny torował drogę temu nowemu, wysuwając teoretyczny postulat eksperymentowania.

Otrzymałmy także kilka nowych prac z zakresu sztuki. Przede wszystkim pragnęliśmy zalecić wydaną przez PZWS, świetnie napisaną książkę Stefana Szumana „O SZTUCE I WYCHOWANIU ESTETYCZNYM”.

Autor omawia tam krąg zagadnień związanych z odbiorem sztuki, wskazując na zasadniczą rolę w jej odbiorze i wyrażeniu jej wartości. Autor omawia tam krąg zagadnień związanych z odbiorem sztuki, wskazując na zasadniczą rolę w jej odbiorze i wyrażeniu jej wartości.

„Książka i Wiedza” pięknie wydała „KRAJOBRAZ Z TĘCZĄ” Jadwigi Stepieńskiej, przystępnie ukazane sylwetki artystów polskich od Wita Stwosza do Dunikowskiego, forma albumowa, bogaty dobór reprodukcji, w sumie jakieś podstawowe compendium wiedzy o naszych najwybitniejszych plastykach. Wydawnictwo

Literackie w Krakowie ze swojej strony poszczycić się może wspólnie wydaną, potrzebną i przejrzystą pracą Romana Reinfusa „MALARSTWO LUDOWE”, gdzie aż „oczy się śmiają” od tych wszystkich swiadczeń, zbójników, obrazów samorodnych talentów, prymitywistów, od nieznanych dawnych autorów aż po krynickiego Nikifora. Tekst doskonale wprowadza w zagadnienie, czym jest sztuka ludowa. „Arkady” kontynuują serię albumową — poświęconą rzeźbie polskiej, wydając obecnie tom Dariusza Kaczmarczyka „WŁADYŚŁAW OLESZCZYŃSKI”, doskonałe studium o tym najwybitniejszym rzeźbiarzu naszego okresu romantyzmu, z Poznaniem szczególnie blisko związanym (autor zniszczonego przez hitlerowców pomnika Mickiewicza).

Sporo poezji wśród ostatnich wydawnictw jaskółek. Nakładem PIW-u ukazały się „WIERZESIE I POEMATY” Władysława Broniewskiego, ukazujące twórczość poety od tomiku „Wiatrak” z roku 1925 aż po ostatnie utwory. Broniewski już w czasie choroby intensywnie pracował nad przygotowaniem tomu.

PIW także opublikował kolejny tom cyklu „ZBIORU POETÓW POLSKICH XIX WIEKU”, w opracowaniu benedyktyńskiego pracownika Pawła Hertz. Równie pięknie jak poprzednie wydany tom trzeci zawiera utwory poetów urodzonych między r. 1821 i 1850.

W serii „Biblioteki narodowej”, nakładem „Ossolineum” ukazał się opasły tom zbiorczy pt. „BALLADA POLSKA” w opracowaniu Czesława Zgorzelskiego poprzedzony ciekawym i wyczerpującym wstępem. Warto prześledzić rozwój tego rodzaju literackiego, od J. U. Niemcewicza aż po Wł. Broniewskiego.

Jest też ostatnio i kilka pamiętników, mających tak wielkie powodzenie wśród odbiorców. I tak nakładem „Czytelnika” ukazały się jednocześnie oba tomy wspomnień Jerzego Putramenta „POLSKA WIEK”, pasjonująca i tematycznie i formą ujęcia lektura spraw związanych zwłaszcza z okresem dwudziestolecia i ostatniej wojny. Z dalekiej przeszłości w historii wspomnień swego rodzaju rewelacją staną się Michała Czapkowskiego (Sadyka Paszy) „MOJE WSPOMNIENIA O WOJNIE 1854 ROKU”, wydane przez MON. Kapitalne są te wspomnienia pisarza, działacza, polityka i wojownika, postaci jednej z barwniejszych w naszych dziejach, zarazem tragicznej. Tio jego wspomnień — to nie tylko sprawa polska na tle wojny krymskiej, ale także i obraz ówczesnej emigracji, smutny, jak każdy obraz emigracyjny.

zmianą na podobny do amerykańskiego „Time'u”, lub NRF-owskiego „Spiegla”.

O katolickim ruchu wydawniczym

Nowa Kultura tym razem przynosi szereg szczególnie ciekawych pozycji. A więc przede wszystkim pierwszy odcinek studium Wacława Sadkowskiego „Wokół katolickiego ruchu wydawniczego”. Wreszcie ktoś podjął obszernie ten temat! Sadowski na pierwszy ogień wzięł Wydawnictwo „Pallotinum”, poczynił omawia publikację Wydawnictwa „Znak”. Stanisław Dan w artykule „Kultura i kultura” raz jeszcze podejmuje nieśmiertelny temat konińskiego ugoru kulturalnego. Niesłychanie ciekawy w formie i treści jest Juliana Przybosia „Do poetów bezprzestankowców list otwarty, a proroczą rewelacją stanowi Najkrótsza recenzja Lecha Zahorskiego z Sopockiego Festiwalu Piosenki.

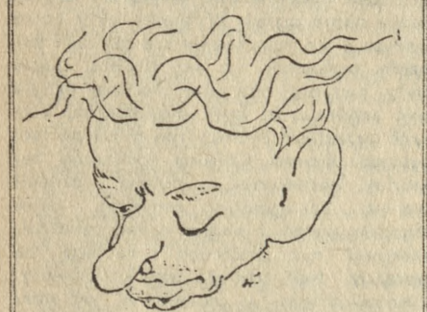
Rozmaitości

W najnowszych Kierunkach odnotowaliśmy Jana Adamskiego omówienie wystawionej przez Teatr Nowy sztuki Wiktora Hugo „Angelo Tyrana Padwy” (b. pochlebnie) oraz wystąpienie polemiczne niejakiego X. przeciwko grupie „Tygodnika Powszechnego”. Kolejne wydanie „Życia Literackiego” przynosi recenzje książek Jerzego Korczaka (z książki J. Przymanowskiego „Ze 101 frontowych nocy”) i Bogusława Koguta (z „Spotkań z rzeką” H. Janłosa, J. Kuluniaka, Z. Romanowskiego oraz z „Samotnika z ulicy Północnej” L. Golińskiego). Ponadto „Życie Literackie” drukuje List z Poznania Czesława Michniaka, w którym autor m. in. informuje, iż otrzymał stypendium literackie, ufundowane przez HCP.

I jeszcze Świerszczyk: pełne dwie strony pięknie ilustrowanych „Fraszek o plakach” Włodzimierza Ścisłowskiego. Włodziu, brawo

LEKTOR

Z TEK I ST. MROWIŃSKIEGO



Dr Bolesław Wiewióra

docent UAM



Nie ma „ogórków” na łamach prasy tego lata — przynajmniej do tej pory. Być może, wiąże się to z zgoła z marcową aurą, która wielce daje się we znaki wczasowiczom, ułatwiając zarazem publicystom „przetrawianie” lipca.

HCP od kulis

W miesięczniku Nowe Drogi (nr 7) obszerny artykuł opublikowali Władysław Kostuj i Zbigniew Łukomski — dyrektorzy naczelny i techniczny Zakładów Przemysłu Metalowego „H. Cegielski”. Wspomniana publikacja nawiązuje do problemów X Plenum KC PZPR, które dokonało analizy sytuacji w przemyśle maszynowym. Autorzy omawiają działalność, osiągnięcia i polknięcia kierowanego przez siebie przedsiębiorstwa na tle uchwał Plenum. Obok interesujących uwag na temat kwalifikacji załogi, dyrektorzy HCP ujawniają słabość zaplecza technicznego Zakładów. Najciekawsze jednak — a zarazem dyskusyjne — wydają się nam uwagi autorów, dotyczące bodźców i antybodźców w zakresie postępu. Oto fragment końcowy publikacji:

„Chcemy przy okazji podkreślić, że technicy bynajmniej nie chcą posiadać głosu decydującego w życiu gospodarczym kraju. Natomiast wyrażają przekonanie, że wiele spraw gospodarczych kierownicze widzą w niewłaściwym świetle, skut-

ktem czego powstaje układ niesprzyjający rozwojowi postępu i pozbawiający gospodarke narodową wielu korzyści i sukcesów zarówno dzisiaj, jak i na przyszłość. (...) Jeżeli dodamy do tego, że poza stanowiskami kierowniczymi placce inżynierów i techników nie wiele lub wcale nie przewyższają plac wykwalifikowanych robotników, to musimy dojść do wniosku, że coś jest nie w porządku i stan taki nie stwarza bodźca do podwyższania kwalifikacji”.

Echa pamiętnego procesu

Rasowy felietonista Życia Gospodarczego, sygnujący swoje stałe felietony („Dumping słów”) pseudonimem KŁAKSON — tym razem nawiązał do procesu, jaki się odbył po pamiętnej katastrofie na statku „Konopnicka” w Śródnio Gdańskiej. KŁAKSON polemizuje z publicystami Kąkolem i Rowińskim, którzy na łamach „Prawa i Życia” poruszyli ten sam temat. Polemika między łegini piórami obu czasopism dotyczy problemu winy i kary oraz osobistego dramatu, jaki stał się udziałem byłego dyrektora naczelnego Śródnio — Wychowskiego.

„Od dyrektora można żądać, żeby zwalczał nie-realne plany, żeby czynił wszystko dla zabezpieczenia środków i warunków do prowadzenia produkcji w ładzie, zgodnie z przepisami, żeby minimalizował bałagan i wystrzegał się produkowania na wariata. Nie można odeń żądać, żeby w wypadku kiedyś zabiegł jego nie odnoszą dośrobie skutku, odmawiał wykonywania zadań, lub odchodził. Nie tworzymy sytuacji abstrakcyjnych i nie stawiamy go przed fikcyjnym wyborem, którego realność spowodowałaby, że nie byłoby komu kierować produkcją. Mało: właśnie mając na uwadze obiektywnie panujące stosunki i warunki, pozwólmy mu na margines ryzyka, na samodzielnie grę i samodzielną za nią odpowiedzialność służbową”.

Tyle — KŁAKSON. Problem na pewno niezwykle interesujący dla ludzi, związanych z życiem gospodarczym (i nie tylko gospodarczym).

Co najmniej pięć pozycji...

Najtrudniej omawiać bieżące wydania tygodnika Polityka. Trudno, bowiem niemal cały numer jest „do czytania”. Najnowsze wydanie „Polityki” przynosi co najmniej pięć pozycji jak najbardziej godnych polecenia. Zatem — telegraficznie:

Intelektualiści a świat współczesny — to tytuł niezwykle zajmującej rozmowy czworga przedstawicieli „Polityki” z Jean-Paul Sartrem. Jeszcze raz o ankietyzmie — to replika Adama Schaffa na liczne wypowiedzi kontrowersyjne, drukowane przez „Politykę” w związku z rozpoczęciem na łamach tygodnika (przez tegoż autora) dyskusji o socjologii. Po owocach ich poznacie — to artykuł Barbary W. Olszewskiej, omawiający — nazywając rzecz po imieniu — kandydaty rozmaitych wytwórników produktów spożywczych. Niestety, autorka rozpoczyna przykładem z Poznania:

„Nazywa się: Krówka poznańska z orzeszkami. Producent: Spółdzielnia Inwalidów Poznań. Cena 100 g tabliczki: 2,20 zł. Znak normy: WKC XIII 37/17/58. Orzeszkowa w Krówce — ani śladu”.

W dyskusji sportowej („Polska gola”) m. in. zabrał tym razem głos trener koszykówki poznańskiego „Lecha” — Florian Grzechowiak, który omawia problemy miejscowego AZS-u. Anna Lechowska kontynuuje swoje rewelacyjne „zapiski nauczycielki”.

I jeszcze niezwykle ciekawa pozycja: Ziehabilitowani — pięć zdjęć i pięć życiorysów (przedrukowanych za dziennikiem „Izweścia”) wybitnych działaczy radzieckich, którzy padli ofiarą nieuzasadnionych oskarżeń w czasach kultu jednostki.

Na koniec nasze „trzy grosze” w sprawie, poruszonej przez Czytelników „Polityki”: jaki powinien być format tygodnika. Głosujemy za jego